



SOLIDARNOŚĆ

nr

11

30 VIII 1981 r.

ZBiPM „CUPRUM” WROCŁAW PL 1-GO MAJA 1/2

WYWIAD Z TADEUSZEM JANDZISZAKIEM

K. Kim Pan jest ?

J. Mam 39 lat, jestem historykiem z wykształcenia a dziennikarzem z zawodu. Należę do SDP. Obecnie piszę do gazet KPN lub związanych z KPN z których „Bóg i Ojczyzna” będzie ukazywać się we Wrocławiu.

K. Jakie są główne cele KPN ?

J. Głównym celem KPN jest walka o niepodległość Polski. W wyniku konferencji w Jaskółce znaleźliśmy się w strefie wpływów radzieckich.

W związku z tym rządząca z nadania radzieckiego PZPR jest instytucjonalną formą władztwa ZSRR w Polsce.

Jesteśmy zdania, że PZPR mogłaby sprawować nadal władzę, gdyby jej władza pochodziła z nadania społecznego. Tak niestety nie jest, a nasze władze realizują hegemonistyczną politykę radziecką, która nie zawsze jest zgodna z polską racją stanu.

W przeciwieństwie do PZPR, dążymy do ułożenia stosunków polsko - radzieckich na zasadzie równopartnerstwa.

Z tych i wielu innych względów nasze władze muszą pochodzić z wyboru, a nie z nadania przez obce państwo.

K. Jak Pan ocenia obecną sytuację w Polsce ?

J. W ciągu jednego roku nastąpiło przeżarcie monopolu partyjnej informacji i zmiana świadomości. To jest najważniejsze. Uwierzyliśmy, że możemy coś razem zrobić. Wyrzucamy powoli dwie sprawy z naszej świadomości, że UB czy SB jest wszechmocna więc nic nie da się zrobić, oraz że w razie czego Rosjanie zajmą nasz kraj.

Dziś nie damy się skłócić i podzielić. Wielkie słowo **SOLIDARNOŚĆ** funkcjonuje także w odniesieniu do polskiej racji stanu która zawsze polegała na niepodległym bycie narodu i demokracji - w stosunku do człowieka do człowieka i administracji do człowieka.

Poza tymi najważniejszymi sprawami tzn. wolnością, niepodległością, zrzućciem dominacji radzieckiej i uzurpatorskiej władzy PZPR, KPN wyznaje zasady suwerenności i prawo każdego narodu do samostanowienia. To jest oczywiste, jeśli się zwąży, że sami tego się domagamy dla siebie. Niemniej jednak jeśli chodzi o Niemcy to najważniejszą dla nas wydaje się punkt widzenia de Gaulle'a, który twierdził, że tak kocha Niemcy, że woli mieć ich niemieckich przyjaciół zamiast jednego. Uważamy, że sprawa naszych granic zachodnich jest bezdyskusyjna i nie zależy od ilości państw niemieckich.

Do użytku wewnątrzwiązkowego

Zawsze staliśmy na gruncie nienaruszalności tych granic/ istnieją na to niepodważalne dowody/.
Jeśli chodzi o inne nasze granice to uważamy, że narody ościenne, kiedy będą miały niezależne rządy, same rozstrzygną o swym losie.

- K. A jak to było z wywiadem Moczulskiego dla zachodnioniemieckiej telewizji?
- J. Wywiad ten został spreparowany i następnie pokazany w naszej telewizji. Faktem jest, że Moczulski stwierdził zgodnie z rzeczywistością, że władza w Polsce nie jest ani naszą władzą, ani władzą polską.
- K. Do czego wg Pana zmierza obecny proces działaczy KPN?
- J. Akcja władzy przeciw KPN obróciła się na naszą korzyść, ponieważ nikt z nas nie wierzy środkom masowego przekazu. Ludzie zaczęli się więc pytać: Jak to jest naprawdę z tą KPN? Nasza partia jest legalna. Nie ma żadnych przepisów, które pozwoliłyby zdelegalizować w Polsce jakąkolwiek partię polityczną. Błędne się to stało, że kiedy PZPR zagarnęła władzę, zniesiono przepisy dotyczące uznania partii politycznych. PZPR nie przewidziała jednak, że ktoś kiedyś wykorzysta tę lukę w prawie. Ruchy pozapolityczne muszą być rejestrowane, ale partia polityczna - nie. A my jesteśmy partią czysto polityczną. Skupiamy szereg ugrupowań zjednoczonych ideą uzyskania niepodległości i doprowadzenia do wolnych wyborów. Są to ugrupowania skonfederowane. Ilość członków KPN szybko rośnie. Chcemy wykorzystać toczący się obecnie proces do dalszego rozpropagowania idei KPN. Wydano akt oskarżenia i mowy obrońców, aby każdy mógł zapoznać się z tymi materiałami i sam osądzić kto ma rację.
- K. Jakie stanowisko ma KPN wobec socjalizmu?
- J. Przede wszystkim, to co jest u nas i co zwalczamy, nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Jesteśmy za społeczną własnością środków produkcji. Uważamy, że część przedsiębiorstw powinna pozostać w rękach państwa ale większość z nich musi być własnością społeczną. Walczymy o polski socjalizm.
- K. Skąd bierzecie środki na utrzymanie? Przecież część z Was nie pracuje?
- J. Ze składek członkowskich, wydawnictw i prasy. Żadna zagraniczna organizacja nas nie finansuje. Otrzymujemy też trochę pieniędzy i żywność od indywidualnych osób pochodzenia polskiego. Ja np. otrzymałem w więzieniu jedną paczkę żywnościową z zagranicy poprzez rodzinę, a kolega otrzymał taką paczkę bezpośrednio do więzienia.
- K. Dziękuję za rozmowę. Rozmawiał K. Krasieżyński.

FRANCJA, CFTD I SOLIDARNOŚĆ

Kto z nas nie zna okazałej bryki katedry Notre Dame, strzelistej wieży Eiffa czy rozjarzonego nocną iluminacją Łuku Triumfalnego i lśniącego smugami światła tysięcy samochodów asfaltu Pól Elizejskich? Znałe to obrazyki Paryża każdemu Polakowi tak dobrze jak widok kolumny zygimunt z Placu Zamkowego czy Starówki utrwalonej obiektywem fotoaparatu z prawego brzegu Wisły. Pery architektury, którymi się zachwycały, przez które przemawiają do nas wieki, stworzone przez ludzi - służą im.

Jacy są ludzie siedzący w samochodach zdążających do "Łuku", o czym myślą paryżanie idący po stopniach katedry, jak wiele wspólnego w działaniach na codzień i w perspektywie mamy z Francuzami, a co nas dzieli? Zwiedzajmy, patrzymy, poznajmy się wzajem, a będzie nam łatwiej się żyć, będziemy sobie pomagali i nigdy nie poróżnią nas wrogi

nastroje.

Wymieniamy poglądy, wiedzę, doświadczenia, przenikamy się wzajemnie i uczymy się solidarności.

Takie cele przyświecały "Confederation Francaise Democratique du Travail" gdy zapraszała "Solidarność" do odbycia dwutygodniowego stażu przez kilkunastuosobową delegację. Jedno miejsce w jej składzie, KKP przeznaczyła dla delegata lubińskiego MKR-u.

Zebrań prezydium, głosowanie i oto stałem się kandydatem na jedno z osiemnastu miejsc w formowanej grupie. Kandydatem, bo przecież wyjazd jest uzależniony od władz, od szybkiego wydania paszportów. Za dwa tygodnie powinniśmy znaleźć się we Francji, a na załatwienie formalności w lokalnym biurze paszportowym można przeznaczyć tylko pierwszy tydzień. Drugi zostaje na formalności w stolicy. Wciąż nie mogę wyzwoić się od myśli analizujących przebieg wydarzeń. Jak to się stało, że MKR powierza tak ważną misję reprezentowania regionu za granicą nieetatowemu członkowi jednej z wielu komisji zakładowych?

Argumentacja Sawickiego była prosta i logiczna - "To nie jest wyścizka lecz staż związkowy, który obydwu stronom ma przynieść korzyści. Delegujemy cię po to, abyś wszystkie wiadomości tam zdobyte, umiejętnie nam przekazał. Twoją kandydaturę poparli liczni robotnicy wchodzący w skład naszego prezydium. Taka jest wola ludu".

Dziękuję Wam moi drodzy za wyróżnienie, a jednak wątpliwości nie ustępują. Czy na pewno godny jestem Waszej opinii, czy spełnię Wasze oczekiwania?

Dlaczego nie kłóćcie się o to miejsce między sobą? Przecież w minionych latach nie było precedensu w związkach zawodowych.

Właśnie! Taką będzie nasza "Solidarność" - wyszyte fałszywych ambicji, zawiści i prywatnych pragnień, służące wszystkim. Jadę!

- Oczekiwanie. Za trzy dni Francuzi chcą nas widzieć w Paryżu. Dlaczego nie ma żadnej wiadomości? Wczoraj aż dwie informacje przyniosła telegamy :

1. Wyjazd odwołany z powodu braku zgody rządu.

2. Po dodatkowej interwencji KKP, wyjazd aktualny. Zbiórka delegacji na lotnisku w Warszawie, 24 maja, o godz. 12.

O wyznaczonej godzinie "W" spotykamy się w kawiarni, poznajemy, nawiązujemy pierwsze kontakty. Nasz opiekun wręcza paszporty. Stwierdzamy brak Alicji. Do niej nie dotarła wiadomość o otwarciu drogi. Będzie musiała przylecieć później, razem z ekspertami.

Godzina 15,30 - siedzimy przypasani do swoich foteli w kabinie Iła-62. Przed nami dwie godziny lotu na wysokości 10000 m. Obok mnie niespodzianka - Kozakiewicz, nasz sportowiec numer jeden. Pan Władysław musieli podzielić los każdego sławnego człowieka, który gdy znajdzie się w gronie sympatyków, musi zaspakajając ich ciekawość i niczym nieodpartą chęć nawiązania kontaktu. Hej, wróciły sportowe marzenia szkolnych lat o wielkich wynikach, stadionach świata i olimpiadach.

- Czy wysokość 5,78 m osiągnięta rok temu w Moskwie gwarantuje przetrwanie tegorocznego sezonu? - Skądże, podobną gwarancję miał Wszoła. Jeśli się nie uda podwyższyć Francuzom poprzeczki chociaż o 2 cm w najbliższej przyszłości, trzeba będzie pożegnać się z rekordem na ich korzyść.

- Kraża pogłoski o braku poczucia humoru u niektórych działaczy i dygnitarzy doszukujących się "polityki" w spontanicznych reakcjach sportowca na uzyskany przed chwilą wynik lub nieodpowiednie zachowanie się publiczności.//

- "Kozakiewicza gest" podsunął Kaczmarekowi satyryczny pomysł, a innym, cierpiącym na obsesję hołdowiczych pokłonów - myśl o dyskwalifikacji zawodnika ...

Gorącą atmosferę stadionów ochładza łagodny głos spikerki :

- " za chwilę lądujemy na lotnisku Orly. W Paryżu jest jedenaście stopni ciepła"...

- Czy chłód jest wróżbą temperatury naszego pobytu we Francji?

- W kraju zostawiliśmy zapowiedź gorącego i urodzajnego lata, ciepły majowy deszcz, a po nim słońce i zapach naszej ziemi.

Żegnamy się z penem Władysławem. Mój znaczek związkowy zmienia właściciela.

" Solidarność" na francuskiej ziemi. Będzie tam tylko dwutygodniowym gościem, czy zakiekuje i pozostanie na zawsze?

Myślisz się Czytelniku jeśli wyobrażasz sobie szumne powitanie nas na paryskim lotnisku. Po sprawnej kontroli paszportów wsiakamy w między-narodową gęstwą podróźnych, na próżno wypatrując gospodarzy.

W okolicy najbliższego punktu informacyjnego układamy bagaże nad którymi Mietek z "Mazowsza" rozwija okazały transparent "Solidarność", oznajmiający nasze miejsce postoju. Widoczny z daleka symbol Związku przeprowadza rozmówców, najczęściej Polaków - emigrantów, którzy zaspęją nas pytaniami przepełnionymi troską o Kraj i wyrazami sympatii dla "Solidarności". Wszyscy okazują swoje poparcie i życzą pomyślności w realizacji chlubnego programu dźwignia Ojczyzny z upadku. Wzruszenie i dumą gładzą serca i głuszą niepokój o to co przyniesie nam pierwsza noc we Francji. Przecież nikt nie ma "twardego" grosza przy duszy ponieważ nasze służbowe paszporty nie uprawniają nas do nabycia 10 dolarów "kieszonkowego". Nie wielu jest Europejczyków, nie wielu Amerykanów nie znających intencji naszego Związku i jego znaku ułożonego z solidarnie wspierających się liter.

- "Excuse me. Would you like to present me your badge?"

Zwraca się do mnie wysoki blondyn wpatrujący się w mój górniczy znaczek "Solidarność LGOM". Chwila i oto mosiężna tabliczka połyka się w kłapie granatowego munduru pilota amerykańskich linii lotniczych. Przyjemna twarz uśmiechem wyraża wdzięczność.

- "Good luck" - pomyślności. Kciuk prawej dłoni podnosi się ku górze. Tradycyjne lotnicze pozdrowienie dla nas, dla "Solidarności". Życzenie się spełnia. Mimo niedzielnej wieczoru kończącego dwudniowy

"weekend" udaje się Marii - naszej tłumaczce - złapać telefoniczny kontakt z kimś z CPDT. Ów KTOS przesyła całej kompanii zaoczne zaproszenie do baru na kanapki i piwo. Ponadto zapewnia, że niebawem przybędzie po nas autokar. To już coś! Humory poprawiają się. Nie będziemy koczować na dworcu przez całą noc!

Odzyskany dobry nastrój nie opuści nas tego wieczoru. Utrwali się przy obiedzie, na który już osobiście zaprosza nas francuscy związkowcy : Raymond, Albert i Rene, wysiadający właśnie z niewielkiego Renaulta przywiedzionego po nas z Bierville. Obiad i wino w restauracji, tu na Orly, z widokiem na lądujące i startujące co chwilę samoloty, na światła wielkiego portu, mają zatrząść przykrość naszego 3-godzinnego oczekiwania w niepewności.

Francja, zdaniem naszych nowych przyjaciół nie jest tak niegościnna. Spójnione powitanie przybierające tę nieoficjalną formę, nie wynika z ich winy. Przepraszają nas w swoim imieniu i również za tych, którzy utrudniali wyjazd naszej delegacji. Prawdopodobnie w wyniku zaistniałych komplikacji, po telegramie odwołującym całą imprezę, CPDT nie otrzymała zawiadomienia o przełamaniu przeciwności przez "Solidarność" i w końcu o terminowym odlocie grupy do Paryża. Uff! Czyżby nasza KKP wpuściła nas samopas w maliny?

W pierwszym bezpośrednim kontakcie, nasi gospodarze ujawniają cechy, jakie później okazały się wspólnymi dla ogółu Francuzów.

- Serdeczność, troskliwość, poczucie humoru oraz stałość do smacznego i obfitego jedza. Lubią też dużo mówić przebiegając krasomówczo każdą wypowiedź na podjęty w rozmowie temat. Dowiadujemy się, że pierwszą część naszego stażu, w ciągu nadchodzącego tygodnia, odbędziemy

w Centrum Szkolenia i Wypoczynku Pracowników CFTD w Bierville. Jest to mała, cicha wioska położona w odległości około 50 km na południe od Paryża. Dotrzeć tam można przez małą i czystą miejscowość Etampes, leżącą na trasie Paryż - Orléans, zbaczając z Etampes na wschód w kierunku rzeki Lesseonne i miasta Fontainebleau. Tam właśnie, w środku nocy dowiezie nas autokar, a zanim udamy się na spoczynek, dyrektor ośrodka René Piffard przedzierzgnie się w barmana i zaserwuje nam drinka, aromatyczną kawę z ekspresu, herbatę i papierosy. Smakując efekty krzątania dyrektora, rozważamy czy byłoby możliwe znaleźć w naszym kochanym kraju kogokolwiek wśród panów czy towarzyszy dyrektorów, zniżającego się do tak niedyrektorskiego zajęcia. Rozgrzanych przy barze, pan Piffard prowadzi nas do pawilonu noclegowego, gdzie dobrani po dwóch, wprowadzamy się do pokoi. Na każde dwa pokoje przypada łazienka z prysznicem i bidetem oraz WC. Rzuca się w oczy staranne wykończenie budowlane i czystość, a orzeźwia powietrze stale wymieniane przez bezgłośną wentylację.

Teraz nareszcie szybko mycie, gorący prysznic, po czym tonę w miękkim kożu i twardym śnie mimo braku normalnej polskiej poduchy. Miał nie położyć mi pod głowę cienki, wypełniony pierzem płócienny wałek. Na poduszce położył się dopiero po powrocie do kraju.

Pierwszy i każdy następny dzień w obcym dla nas kraju będziemy zaczynać takim samym "małym śniadaniem": bielutka paryska bułka, masło i dżem, do popicia kawa naturalna, mleko, herbata. Obowiązkowo też ciepłe, chrupiące rogaliki z półfrancuskiego ciasta. Obfite, właściwe śniadanie będzie dopiero w porze obiadowej.

Tymczasem René pokaże nam wszystkie zakątki posiadłości związkowej, którą zawiaduje.

Stary park rozpościera się na 14-hektarowej polaci. W krzewach, nad czystą, rybną rzeką gnieźdzą się niezliczone, rozśpiewane skowiki. Ośmiennastowieczny zamek w stylu Chateau de la Loire, będący górcem posiadłości, do 1950 r. należał do niejakiego Marka Sangnier a. Ow postępowy katolik i pacyfista pragnął zrealizować rzucone przez siebie w okresie międzywojennym wezwanie do pierwszego międzynarodowego spotkania młodych, w imię pokoju, przyjaźni i współpracy. Idealnie nie zdążył wykonać, lecz w testamentie zapisał posiadłość organizacji, której podobne idee są bliskie. Zgodnie z nim majątek przejęła CFTD, dobudowując tam bazę noclegową, stołówki, urządzając sale wykładowe, kinową i teatralną. Ośrodek jednorazowo przyjmuje 250 osób, które mogą pracować w siedmiu grupach szkoleniowych.

Odnowiony i zmodernizowany zamek mieści biura administracji, salę teatralną, salę telewizyjną i sportową. Internaty, jadalnie i pomieszczenia szkoleniowe znajdują się w nowo wybudowanych, architektonicznie harmonizujących z zamkiem pawilonach. Renowacja starych obiektów, budowa nowych oraz wyposażenie ośrodka pochłonęły 320 milionów nowych franków.

W sezonie urlopowym ośrodek szkoleniowy przekształca się w wypoczynkowy dla rodzin związkowców.

/c.d.n./

Juliusz Mateńko

DLACZEGO "SOLIDARNOŚĆ" MUSI MIEĆ DOSTĘP DO RTV I GAZET

Nasza władza, która decyduje o ilości, cenie i sposobie dystrybucji całej niemal produkcji, rozstrzyga o przeznaczeniu zysków i inwestycji jest faktycznym właścicielem środków produkcji. Jako taka podejmuje i realizuje decyzje produkcyjne w oparciu o otrzymywane i przekazywane informacje i przy użyciu często niekompetentnych, ale oddanych ludzi. Decyzje te, jak dotychczas, wtrąciły nas w pogłębiający się stale kryzys i nieustannie rosnące zadłużenia. Dłużej tak być nie może. Kto rozsądny, ten widzi szansę poprawy w likwidacji nomenklatury i przejęciu decyzji produkcyjnych przez ludzi pracy. c.d. na str.16

Zbigniew Jakubiec

Zakłady poprawcze-resocjalizacja czy demoralizacja?

Wstrząsający artykuł o torturowaniu wychowanków w zakładzie poprawczym /Solidarność 14, 3.VII.1981/ niestety nie omawia incydentalnego przypadku i zupełnie nie ujawnia tego na jakim doszło do tych karygodnych faktów. Wydawało się więc uzasadnione przedstawienie wyników prac grupy interwencyjnej Zarządu Regionalnego Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”. Od października ubiegłego roku grupa nasza zbierała materiały w sprawie nadużyć w zakładach poprawczych podległych Sądowi Wojewódzkiemu we Wrocławiu i uzyskany obraz musi napawać najwyższym niepokojem.

Stan aktualny.

W Polsce w 34 zakładach poprawczych przebywa ponad 3000 wychowanków. Zakłady te podlegają bezpośredniemu nadzorowi wydziałów d/s rodzinnych i nieletnich sądów wojewódzkich, a pośrednio Departamentowi d/s Rodzinnych i Nieletnich Ministerstwa Sprawiedliwości. Zważywszy na stan demoralizacji naszego społeczeństwa i zastraszające rozmiary alkoholizmu, należy przypuszczać, że liczba zakładów nie odzwierciedla aktualnych potrzeb. Warto też na wstępie podkreślić, że ogromna większość wychowanków zakładów poprawczych stanowią dzieci pochodzące ze środowisk marginesu społecznego, rodzin alkoholików, rodzin rozbitych itp., słowem są to dzieci które nie miały dzieciństwa i które bardzo często już w chwili urodzenia były skazane na zakład poprawczy. W takiej właśnie sytuacji społeczeństwo winno zrobić wszystko, aby zakłady poprawcze stały się autentycznymi placówkami resocjalizacji nieletnich, a pobytu w nich nie wolno traktować jako kary, ale należy uczynić wszystko aby była to prawdziwa szansa powrotu młodych ludzi do społeczeństwa.

Stan aktualny większości zakładów poprawczych w Polsce jest alarmujący, aby nie być gołosłownym przytoczę niektóre postulaty Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy Zakładzie Poprawczym w Sadowicach k/Wrocławia.

1. Podwyższyć stawkę żywieniową na jednego wychowanka do wysokości zapewniającej utrzymanie należytego poziomu żywienia, który pozwoli młodzieży na prawidłowy rozwój fizyczny. Przy ustalaniu wysokości stawki żywieniowej należy kierować się aktualnym poziomem cen artykułów spożywczych, a ponadto przynajmniej raz w roku przeprowadzić weryfikację pod kątem zmian cen tych artykułów/obowiązująca do końca ubiegłego roku stawka dzienna wynosiła 22 zł, obecnie 30 zł dopisek Z.J./.
2. W trybie natychmiastowym podnieść stan higieniczny młodzieży /młodzież brudna, nieostrzyżona, brudne ubrania, niedostateczna ilość ubrań i obuwia, brak swetrów, brak ciepłej odzieży itp./.
3. Podnieść stan higieniczny i estetyczny pomieszczeń, szczególnie internatu, kuchni, stołówki, pomieszczeń socjalnych jak również warsztatowych i innych.
4. Zapewnić, przynajmniej dwa razy w tygodniu, dostateczną ilość ciepłej wody, aby młodzież mogła solidnie się wykąpać.
5. W trybie natychmiastowym przystąpić do remontu urządzeń uzdatniających wodę pitną /obecnie woda nie nadaje się absolutnie do celów spożywczych z powodu nadmiernej ilości żelaza/. Ponadto natychmiast podjąć starania w celu wykonania nowego ujęcia wody.
6. Dokonać remontu C.O. w budynku internatu /w całym budynku, a w szczególności w internacie, zimno/.
12. Podnieść na wyższy poziom proces szkolenia zawodowego jak również

ogólnokształcącego młodzieży, między innymi przez organizowanie pracowni i zaplecza pomocy naukowych autentycznie potrzebnych w nauczaniu, zobligować nauczycieli do rzeczywistego wykorzystywania tych pomocy w procesie dydaktycznym.

13. Reaktywować rzeczywistą działalność biblioteki szkolnej, która praktycznie nie istnieje i nie spełnia żadnej roli.

Już tylko z tych przytoczonych postulatów można sobie odtworzyć stan naszych zakładów, gdzie młodzież żyje w prymitywnych warunkach, w brudzie, w pomieszczeniach malowanych na "urzędowy" szary kolor, kiepsko ogrzanych. Najczęstszym ubraniem jest brudny drellich roboczy i takie same buty, ale bywały wypadki, że chłopcy chodzili obdarci i boso. Jeżeli do tego dodamy skandalicznie niską stawkę żywieniową, a nawet, jak w tym konkretnym przypadku, brak wody zdatnej do celów spożywczych to uzyskany obraz musi budzić niepokój. Stwarzane przez zakład poprawczy warunki nie odbiegają od warunków życia środowisk z których wywodzi się ogromna większość wychowanków i w ten sposób utwierdzają tylko negatywne wzorce wyniesione z domu.

Metody wychowawcze.

Panuje powszechny pogląd, że doskonałą metodą wychowawczą jest praca i dlatego w zakładach poprawczych stosuje się ten środek powszechnie. Są przy zakładach warsztaty szkolne/ gdzie młodzież uzyskuje nawet kwalifikacje czeladnicze/, są też grupy półwolnościowe alokalizowane przy dużych zakładach przemysłowych. Teoretycznie więc zostały stworzone warunki do pracy i nauki zawodu, z bliska jednak sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Prawdą jest, że zatrudniano nieletnich w godzinach nocnych, że pracowali po 16 i więcej godzin na dobę, że brak było dbałości o bhp /chłopcy wracali z naświetlonymi i opuchniętymi od spawania oczami/, że ukrywano wypadki przy pracy, przez co pozabawiano wychowanków nawet możliwości uzyskania odszkodowania za trwałe kalectwo, ale nade wszystko panowała tu zupełna bezkarność w zatrudnianiu wychowanków przy pracach prywatnych. Pracowali więc oni przy budowie prywatnej fermy kurzej, przy budowie domków jednorodzinnych, na plantacjach porzeczek, na polach SHR-ru i PGR-u oraz w wielu innych miejscach. Zapłata za te prace stanowiła tradycyjna paczka "sportów", a o rozmiarze wykonanych prac może świadczyć, że minimalne oszacowane straty wynoszą 500.000,- zł.

Drugą powszechnie stosowaną "metodą wychowawczą" było bicie. Oprócz pięści i kopniaków używano do tego celu pałki milicyjnej, kable, kija i co tylko było pod ręką. Bili prawie wszyscy od dyrektora zakładu do strażników, a niektórych wychowawców obdarzano przydomkami np. "fanga".

Przyczyny bicia były najróżniejsze: "kary" za drobne kradzieże, odmowa pracy w godzinach nocnych, odmowa pracy gdy wychowanek był chory i miał zwolnienie lekarskie, nieuzasadnione podejrzenie wzięcia pieniędzy, zwrócenie się do wychowawcy "proszę pana" zamiast "proszę pana kierownika", ale wg zgodnej opinii wychowanków najczęstszą przyczyną, był poprostu zły humor wychowawcy. Skutki bicia były niekiedy zatrważające i wychowanków zamykano w karnej izolatce, gdyż wyglądali tak, że nie można było pokazywać ich nikomu. O tym, że niekiedy bicie służyło wykładowaniu skłonności sadystycznych, niech świadczy poniższa relacja:

Dnia 23.V.1978 r. uciekłem ze zlotu drużyn harcerskich, który miał miejsce w Grodźcu. Po dwóch dniach zostałem złapany we Wrocławiu, przez grupę wychowawców z zakładu w którym obecnie przebywam. Po zatrzymaniu zostałem wrzucony do samochodu zakładowego. Po drodze do zakładu kierownik D. zaczął mnie bić. Kazał mi się rozebrać do

i położyć na brudną i moką podłogę samochodu. Najpierw bił mnie pałką milicyjną, a później pasem i moimi butami. Kazał mi patrzeć na niego i śmiać się. Kierownik D. palił papierosy, a że w samochodzie nie było popielniczki, kazał mi jeść popiół i niedopałki od spalonych papierosów. Potem gdy byłem tak pobity, że nie mogłem wstać o własnych siłach, kierownik kazał liść sobie buty, oraz wychowawcy M. i instruktorowi H., ponieważ mieli całe ubłocone. Później kierownik przywiązał mi sznurek do przyrodzenia i ciągnął mnie za ten sznurek. A robił to dlatego, że zmęczył się jak mnie bił przez cały czas, a o przerwie w biciu i znęcaniu się nade mną nie było mowy. Później gdy znudziło mu się zabawianie sznurkiem, podpalił gazetę i zaczął parzyć mnie po ciele. Opalał mi włosy na głowie i przyrodzeniu. A gdy skończyły się wszystkie gazety jakie były w samochodzie, popiół od spalonych gazet i kawałki niedopalonych gazet musiałem zjeść. Gdy zbliżał się do zakładu, samochód zatrzymał się koło rzeki Kaczawy która niedaleko zakładu przepływa. A kierownik D. złapał mnie za sznurek i rozebrany do naga, musiałem wejść do bardzo zimnej wody i umyć się, ponieważ byłem bardzo brudny bo cały czas leżałem na podłodze samochodu. A jeśli chodzi o ucieczkę z zakładu to uciekłem dlatego, że chłopaki nie dawali mi spokoju, bili mnie i obrzucali słowami wulgarnymi. A wychowawcy udawali, że tego nie widzą. N.Z.

Życie w grupie stwarza zawsze pewne układy hierarchiczne. Wychowankowie o pozycjach przywódczych nie byli na ogół bici, za to szeregi wychowawców podejmowało próby osłabienia ich pozycji i skłócenia wewnętrznego grupy. Powszechne było popieranie donosicielstwa, napuszczania jednych wychowanków na drugich, a także przyjmowanie prezentów jako okupu za pewne przywileje. Wśród wychowanków utrzymywano przekonanie, że gdyby się poskarżyli to tylko pogorszą swoją sytuację, narażając się na akty zemsty. W tak funkcjonujących układach trudno się dziwić, że niektóre szabsze jednostki czuły się totalnie zagrożone i na tym tle dochodziło do samookaleczeń, pokłyania przedmiotów trwałych oraz do udanych i nieudanych prób samobójstw. Można zatem stwierdzić, że proces wychowawczy w zakładach poprawczych w swej obecnej postaci, nie przynosi porządnego wyniku, a w wielu wypadkach wręcz pogłębia izolację wychowanków od społeczeństwa.

Kadra i nadzór

Już z przytoczonych faktów wynika, że dobór kadry pedagogicznej w zakładach poprawczych jest wysoce niewłaściwy. Trafiają tu ludzie przypadkowi, o niskim poziomie moralnym, nie posiadający odpowiednich kwalifikacji zawodowych i psychicznych do wykonywania tak trudnej i specyficznej pracy. Wskazują na to też popełnione nadużycia finansowe, liczne wypadki picia alkoholu przez wychowawców na terenie zakładu, a nawet namawianie chłopców do wykonywania małych przestępstw /fałszowanie rachunków/. Trzeba jednak stwierdzić, że nie wszyscy wychowawcy i nauczyciele postępowali w opisany sposób, byli wśród nich zawsze ludzie uczciwi i kompetentni, którzy głęboko przeżywali tragedię młodzieży powierzonej ich opiece. Naturalną drogą podejmowanych prób poprawy było monitowanie u władz zwierzchnich. Skargi i petycje składano początkowo w sądzie wojewódzkim i w ministerstwie, potem gdy to nie pomogło w Prokuraturze Generalnej PRL, w KC i KW PZPR u inspektorów pracy przy WRZZ. Te alarmujące głosy nie odniosły żadnych porządnego skutków, a w najlepszym wypadku były lekceważone. W przypadku zakładów poprawczych podległych Sądowi Wojewódzkiemu we Wrocławiu dochodziło do bezwzględnego tępienia wszystkich ludzi niewygodnych, a tym kierowali ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za stan zakładu z racji zajmowanych stanowisk. Wytaczano więc procesy i rozprawy dyscyplinarne pod fałszywymi zarzutami. Szykanowano

przenosząc do gorszej pracy lub pozbawiając pełnionych funkcji. Docho-
dziło do paradoksalnych sytuacji, że ludzie którzy jednego roku otrzy-
mali nagrody ministerialne i odznaczenia państwowe byli w następnym
roku oskarżeni i zwalniani z pracy. Wszystkie te działania były omotane
gęstą siecią przepisów i paragrafów, toczyły się po kilka lat i rozwik-
łanie ich było wprost niemożliwe, a jedynymi jednoznaczными dowodami
były ślady bicia. Wyniki rozpraw dyscyplinarnych / bo postępowania
karne umarzano z braku dowodów winy/ były co najmniej zaskakujące np.
nie ukarano sprawcy licznych udowodnionych pobić, za to ukarano nagana
człowieka który to piętował pod pozorem, że w sposób niepedagogiczny
zbierał informacje o rekodynach. Ostatnio natomiast zwolniono z pracy
/ oczywiście przy zachowaniu wszelkich przepisów prawnych/ autora postu-
latów które wysunęła KZ NSZZ "Solidarność" przy Zakładzie Poprawczym
w Sadowicach /decyzja Min.Spraw. KD 2203/II/81 z dnia 14 lipca 1981/
choć w prywatnej rozmowie dyrektor oświadczył "gdyby nie te postulaty,
to mógłby pan dalej pracować".

Nieprawidłowości i nadużycia w zakładach poprawczych doczekały się
dosyć pokąsnej liczby artykułów prasowych. W ciągu ostatnich dwóch lat
było ich co najmniej pięć / "Rozróżba w poprawczaku" - Słowo Polskie
18.X.1979; "Drugie życie" - Kulisy 25.XI.1979; "I cydenty" - Kulisy
28.IX.1980; "Niemoc w majestacie prawa" - Słowo Polskie 29.III.1981;
"Dziękuję za bardzo dobre wychowanie" - Solidarność 3.VII.1981/.
Przedstawiono w nich alarmujące dane z zakładów poprawczych z różnych
stron Polski, dlatego też dziwiła mnie wypowiedź naczelnika Departam-
entu d/s Rodzinnych i Miejskich Ministerstwa Sprawiedliwości - Jana
Wójcika, w audycji radiowej w dniu 7.V.1981.

Stwierdził on, że 99% kadry pedagogicznej zakładów poprawczych to
bardzo dobra kadra c dużym doświadczeniu.
W świetle przedstawionych faktów wypowiedź ta jest tylko dowodem, że
nieprawidłowości w zakładach poprawczych są również wynikiem tego, że
wspomnianym departamentem kierują ludzie którzy albo nie posiadają
rozeznania aktualnej sytuacji, albo od lat tolerowali znane im kary-
godne fakty.

Co dalej ?

Zakłady poprawcze powinny być dla wielu młodych ludzi ostatnią praw-
dziwą szansą powrotu do społeczeństwa. Stan obecny powoduje, że są one
raczej ośrodkami demoralizacji i wychodzą z nich kwalifikowani przes-
tępcy. Narysowany tu obraz obejmuje tylko niewielki wycinek tego
złożonego problemu, ale i tak pozwala na wysnucie następujących wnio-
sków :

1. należy niezwłocznie zapewnić społeczny nadzór nad funkcjonowaniem
zakładów poprawczych/może jako sekcja organizującego się Patronatu/.
2. należy w trybie natychmiastowym podnieść na odpowiedni poziom warun-
ki życia i pracy wychowanków zakładów poprawczych,
3. należy niezwłocznie przeprowadzić weryfikację kadry pedagogicznej
pracującej w tych zakładach,
4. należy opracować raport o stanie zakładów poprawczych i bezwzględnie
zreformować istniejący system.

Osobiście uważam, że nawet duże nakłady na zakłady poprawcze są wyj-
ściem tańszym niż konieczność przeznaczania znacznie większych kwot na
więzienia i ich utrzymanie. Obecny system zakładów karnych, w tym za-
kładów poprawczych, jest anachroniczny i nieskuteczny, a wyniki badań
dowodzą, że im prymitywniejsze warunki życia w zakładzie i im ostrzeż-
sze rygory tym większy odsetek recydywistów wśród ludzi opuszczających
zakład. Nazwa zakład poprawczy ma w chwili obecnej wydźwięk ironiczny-
należy zrobić wszystko aby ten stan jak najszybciej zmienić.

UB-ek PUSZCZA FARBĘ /3/

WALKA Z KOŚCIOŁEM I PRYMASEM POLSKI

Wszystkie decyzje w sprawie polityki Kościoła w Polsce - opowiada Świątko - zapadają w Moskwie. Po instrukcje do Moskwy jeździ zawsze Bierut a wraz z nim Franciszek Mazur, bo do jego kompetencji w biurze politycznym należy walka z religią i Kościołem. Do dyspozycji swojej ma on dwa instrumenty: Urząd do Spraw Wyznaniowych, którego szefem jest były ambasador reżimowy w Berlinie Wschodnim Izidorczyk i Departament I w bezpieczeństwie. Urząd do Spraw Wyznań pełni - jak twierdzi Świątko - rolę szesnastą. Podstawowym instrumentem terrorku politycznego i fizycznego wobec duchowieństwa jest XI Departament bezpieczeństwa, na którego czele stoi oficer sowiecki płk Więkowski, Białorusin z pochodzenia, wychowanek szkoły wywiadowczej NKWD, spadochroniarz, zrzucony do Polski w czasie wojny przez wywiad sowiecki. Ten aparat przygotował akt oskarżenia przeciwko biskupowi Kaczmarekowi i po jego zatwierdzeniu przez Moskwę wytoczył biskupowi kieleckiemu proces pokazowy. Departament XI również przeprowadził aresztowanie Prymasa Polski, księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego.

"Jak wszystkie decyzje w sprawie polityki kościelnej w Polsce - powiedział Świątko - tak i decyzja aresztowania Prymasa Polski zapadła w Moskwie. Bierut i Franciszek Mazur pojechali za życia Stalina jeszcze, do Moskwy po instrukcje. W rozmowie ze Stalinem, Bierut nalegał na natychmiastowe aresztowanie kardynała. I tutaj nie kto inny, a Stalin powstrzymał te słuśne zapędy, pohamował tow. Bieruta i powiedział, że czas jeszcze na to nie nadszedł. Ale przy tym dodał: A wot byłoby charaktero imię w Polsce swajewo Prymasa". Ta uwaga na marginesie była dla Bieruta instrukcją obowiązującą z tym tylko, że Stalin nie udzielił jeszcze zezwolenia na aresztowanie natychmiastowe. Dlatego też zaprzeczane, Prymas Polski aresztowany został dopiero po śmierci Stalina, 26 września 1953 r. Sprawa kardynała interesował się żywo Radkiewicz i osobiście czuwał nad jej rozpracowaniem. Samą operację przeprowadził XI Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa. Szef XI Departamentu, sowiecki płk Więkowski i jego zastępca, Demidok, osobiście aresztowali kardynała Stefana Wyszyńskiego, w pałacu arcybiskupim w Warszawie. Wiceminister Romkowski opowiadał mi o pełnym godności i spokoju zachowaniu się Prymasa, i o tym, że wywarło ono na agentach bezpieki ogromne wrażenie. Po aresztowaniu zdecydowano, że Prymasa trzeba będzie przenieść z klasztoru do klasztoru, sam wybierze się dla niego miejsce dłuższego pobytu i więzienia. Transportem zajmował się osobiście i organizował ubezpieczenie w czasie podróży wicedyrektor XI Departamentu Demidok. Ostatecznie reżim posadził Prymasa Polski w przebudowanym na więzienie klasztorze w pobliżu Lidzbarka w woj. olsztyńskim. I tam kardynał Wyszyński przebywał w chwili mego wyjazdu z Polski w grudniu 1953 r. Widziałem ten klasztor i odwiedzałem go w towarzystwie wiceministra Bezpieczeństwa gen. Świątlika. Świątlik właśnie otrzymał zadanie przygotowania dla Prymasa miejsca jego uwięzienia. Bardzo niewiele najwyższych tylko dygnitarzy partyjnych, znało miejsce pobytu Prymasa. Przygotowania zajęły czas dłuższy. Wysiedlono więc przede wszystkim starszaka proboszcza, który mieszkał obok klasztoru. Korzystając z tego, że był w szpitalu, wyniesiono jego rzeczy z plebanii i kiedy wrócił, zastał już pusty dom. Wysiedlono także ludzi zamieszkujących dwie chaty przylegające do parkanu ogradzającego ogród klasztoru. Dowódcą strażki pilnującej kardynała w klasztorze pod Lidzbarkiem został płk UB- Czarnota, któremu oddano do dyspozycji 60 żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego. W mojej obecności wiceminister Świątlik przekazał Czarnocie cały przygotowany już odpowiednio obiekt i odtąd Czarnota był za wszystko odpowiedzialny. Nie przypuszczam, żeby

Prymas Polaki przebywał nadal w klasztorze. Z góry bowiem przewidziano, że kardynał pozostanie tam nie dłużej jak kilka miesięcy. Wiceminister Światlik powiedział wyraźnie w rozmowie ze mną "Jest to taki pacjent, którego nie można trzymać dłużej w jednym miejscu, bo zaczęłyby się procesje i pielgrzymki". Bezpośrednio po aresztowaniu kardynała Wyszynskiego wszyscy funkcjonariusze UB w całym kraju otrzymali polecenie uczęszczania na nabożeństwa do kościołów i przysłuchiwania się dosłownie od rana do nocy temu co się mówi o aresztowaniu Prymasa. Bezpiecze szło o sprawdzenie reakcji społeczeństwa. A społeczeństwo było do głębi wstrząśnięte i oburzone. Wiedzieliśmy o tym z podsłuchanych rozmów telefonicznych, przejętej korespondencji i od agentów bezpieki. Światlik dodaje jeszcze parę szczegółów o deklaracji Episkopatu po aresztowaniu Prymasa. 26.XI.1953 r. przedstawiciele Episkopatu zostali wezwani do Bieruta na konferencję, na której obecni byli gen. Lalin, doradca sowiecki przy ministerstwie bezpieki, Franciszek Mazur i Józef Cyrankiewicz. Konferencję zorganizowano jako rodzaj przyjęcia dla Episkopatu, w czasie którego Cyrankiewicz z usmiechem częstował kawą i papierosami. Na tym przyjęciu zażądano wydania oświadczenia w sprawie Prymasa. Kiedy później projekt oświadczenia w redakcji Episkopatu, nie zadowolili reżimu i został odrzucony przez Cyrankiewicza, na następnej konferencji, zachowywał się już w sposób chłodny, pogardliwy i nieuprzejmy. Narzucił Episkopatowi reżimowy tekst oświadczenia, które ostatecznie w tej wersji zostało wydane.

FARSA WYBORCZA

W Biurze Politycznym KC PZPR nikt nie ma najmniejszej wątpliwości, że wyborów w Polsce komuniści nie mogą wygrać bez oszustwa. Józef Światło, który był członkiem specjalnej komisji wyborczej w Ministerstwie Bezpieczeństwa w 1952 r. twierdził: "Bezpieka prowadzi bardzo skrupulatnie obserwacje tego, co myśli i jak się zachowuje społeczeństwo. I dlatego wiedzieliśmy doskonale, że ogromna większość społeczeństwa nienawidzi partii i ludzi, którzy zagarnęli władzę w swe ręce. Wiem jak się fałszowało wyniki wyborów w 1947 r. i dlatego z całą stanowczością stwierdzam, że zarówno te wybory sejmowe jak i wszystkie inne wybory w Polsce zostały sfałszowane przez partię i rząd. Wybory przeprowadza się dużymi przygotowaniami. Ogłasza się ordynacje wyborcze, mając wszystkie cechy demokratycznego prawa wyborczego z jednym tylko wyjątkiem - co do wysuwania kandydatów. Organizuje się wielką masową przedwyborczą kampanię. Nazywa się, że naród wybiera swoich posłów i radnych. A jak jest naprawdę? Wybory przeprowadza tylko i wyłącznie I Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wiem, bo sam to robiłem. Wybory do rad narodowych przeszły gładko i akładamente, bo w tej chwili już Departament nabrał wielkiej wprawy i udoskonalił swoją pracę na tym odcinku. Partia musi zagwarantować sobie właściwego kandydata i chce, aby on był jednoznacznie wybrany przez społeczeństwo. Nim się więc kogoś misnuje, czy, jak się to mówi, wybierze na członka władz partyjnych, na delegata na zjazd, posła do Sejmu, czy radnego do rady narodowej - Departament I musi się wypowiedzieć uprzednio w sprawie każdego kandydata. Dotyczy to wszystkich z wyjątkiem członków Biura Politycznego. Partia przedstawia I Departamentowi spis kandydatów, których chce wysunąć i którzy później będą wybrani. W sprawie każdego kandydata wypełniamy niesłychanie szczegółową ankietę. Jest w niej wszystko, począwszy od urodzenia się kandydata, poprzez jego ewentualne studia, pracę społeczną, życie prywatne, przeszłość polityczną, służbę państwową, aż do chwili kiedy ma zostać radnym, posłem, delegatem na zjazd, czy członkiem władz partyjnych. Są w ankiecie szczegóły o jego rodzinie, o tym czy koresponduje i z kim, czy wyjeżdża za granicę

i jak się zachowuje. Wywiad w sprawie kandydatów rozpoczyna się na terenie województwa.

Kandydatów dzieli się na grupy po 5 do 10 ludzi. I do takiej każdej grupy przydzielony jest specjalnie jeden pracownik UB, który ma ich rozpracować zgodnie z ankietą. Podobne sprawdzenie odbywa się w X Departamencie. Jeżeli, po przeprowadzeniu tego szczegółowego wywiadu o kandydacie, nasza opinia o nim wypadnie pozytywnie to dopiero wtedy tzw. masy partyjne wybiorą go na członka władzy partyjnej lub swego delegata, albo też naród wybierze go na posła czy radnego".

System fałszowania wyborów w 1947 r. był inny niż w 1952 r.

W pierwszych tzw. wyborach sejmowych, wszystkie organy administracji publicznej i wszystkie komórki wyborcze dokonywały nadużyć i brały udział w fałszowaniu wyników wyborów.

W roku 1947 - powiada Światko - partia kładła nacisk na dobór członków komisji wyborczych. Do okręgów powysyłano ludzi, którym KC mógł absolutnie zaufać. Drugą kategorię członków komisji wyborczych stanowili zwyczajni agenci UB, a zatem ludzie, z racji swych funkcji, zobowiązani do ślepego posłuszeństwa. Instrukcje dla nich w poszczególnych okręgach były różne i zależały od obliczeń tzw. matematyków wyborczych. Byli to mężowie zaufania KC w poszczególnych okręgach. Do obowiązków ich należało obliczyć, ile z urny miało w ogóle wyjść głosów, ile w tym ważnych, ile nieważnych i ile głosów miało paść na daną listę tak, aby wybory wypadły po myśli partii. Ten system fałszowania wyborów miał dla partii poważne ujemne strony. Bo za dużo ludzi wiedziało co i jak się robi, za dużo ludzi znało przesyłane instrukcje i wiedziało kto je wydaje, i dlatego w 1952 r. przeniesiono fałszowanie wyborów na najwyższy szczebel i ograniczono listę wtajemniczonych do minimum. Nawet w systemie komunistycznym w Polsce, pomysłowość wyborców ma pewne możliwości. Można oddać kartę nieważną, można czasem wrzucić do urny świątek papieru. Wtedy oczywiście zachodzi obawa, że zabraknie w wyborach w jakimś okręgu kilka tysięcy do 99% czy 100% oddanych na kandydatów głosów. I przeciw takim wypadkom Biuro Polityczne podejmuje odpowiednie środki ostrożności. Przed wyborami w 1952 r. Biuro Polityczne powołało specjalną komisję centralną do fałszowania wyborów. Nie była to jej nazwa oficjalna, ale takie właśnie miało zadanie. W skład jej weszli najbardziej zaufani ludzie Ministerstwa Bezpieczeństwa: płk Fejgin - szef Departamentu X, płk Toborski - dyrektor Departamentu II, mjr Bień, mjr Szensauk, Zygfryd Sznek, oficjalny zastępca głównego komisarza wyborczego i ja sam. Do komisji przydzielano nam agentkę sowiecką, specjalistkę w przerabianiu i podrabianiu dokumentów - Rosjanke Konopko. Zadaniem jej było nauczyć nas wywabiania treści w dokumentach, wpisywania innej, naśladowania cudzego charakteru pisma. Jednym słowem miała ona nas przygotować do technicznego fałszowania wyników wyborów. Komisja zabrała się żywo do pracy. Przed wyborami wszystkie materiały okręgowych komisji wyborczych z pieczędiami i podpisami były gotowe. Trzeba było tylko wpisać cyfry. W nocy po dniu wyborów, cała nasza komisja była oczywiście w pogotowiu. Zjawił się wtedy niespodziewanie wiceminister Romkowski i powiedział nam, że wybory, idą wspaniale po myśli rządu i wobec tego, zdaniem Bieruta fałszowanie protokółów stało się niepotrzebne. Romkowski oświadczył, że z polecenia Bieruta, ma je zabrać ze sobą - i wyszedł. Spojrzeliśmy tylko po sobie. Zrozumieliśmy, że skoro fałszowane protokoły były już gotowe - to najwidoczniej Bierut wolał wpisać cyfry w Biurze Politycznym, zamiast u nas. Z ogłoszonych wyników wyborów okazało się, że nasze przypuszczenia były słuszne. Wybory wypadły w 100% po myśli partii.

c.d.n.

Stanisław Skoczek

NA WSCHÓD OD LINII CURZONA /10/

Wspomnienia te publikujemy po to, aby cień zabitych i poległych z głodu, zima i wyczerpania w Związku Radzieckim Polaków nie kładł się dłużej na przyjaźń między naszymi narodami.

Wspomnienia są autentyczne i w najmniejszym szczególe prawdziwe.

Tak byłem zaskoczony tymi pytaniami, że zapomniałem języka w głowie. Dopiero po chwili oprzytomniałem i odpowiedziałem mu, że to co mi zarzuca jest nieprawdą i, że ja tu przyjechałem nie w celach, jak on mówi, szpiegowskich, lecz do pracy, a zwerbował mnie Szach-Ug-Trest. Siedzący obok enkawudysta zapytał się mnie czy wiem o tym, że w kopalni pracują więźniowie? Odpowiedziałem, że wiem, bo z tego nikt nie robi tajemnicy i odpowiedziałem, że jeżeli zasłużyli sobie na to niech więc pracują, aby nie jedli darmo chleba. Na koniec przesłuchania zaproponował mi współpracę, naturalnie za pewnym wynagrodzeniem. Odpowiedziałem, że takimi sprawami nie zajmuję się, a przyjechałem tu do pracy w kopalni, a nie do pracy w aparacie ścigania. Nic na to nie odpowiedzieli, tylko dali do podpisania protokół i oświadczenie, że nikomu nie powiem co było przedmiotem mojego przesłuchania. Podpisałem jedno i drugie i wyszedłem, ale już drugimi drzwiami. Po mieście gruchnęła wiadomość, że "wsie Polaczki" zostali aresztowani za szpiegostwo i pojadą na białe niedzwiedzie. Jakież było ich zdumienie, gdy zobaczyli nas na drugi dzień całych i w komplecie. Po kilku dniach, nie wiem czy otrzymaliśmy zezwolenie od NKWD na rozmawianie z nami, bo, gdy wracaliśmy z pracy, przyłączyło się kilku ruskich do nas, zaczęli się wypytywać skąd jesteśmy /jakby nie wiedzieli przed tym/, jak nam się żyje, ba nawet jeden z nich zaprosił mnie do siebie do domu. Nie przyjąłem zaproszenia tłumacząc się tym, że jestem zmęczony i muszę odpocząć. Przekończyłem zaprosiny na kiedy indziej. Któregoś dnia wybrałem się ze swoim współlokatorem Zdzichem T. nad rzekę. Przeszliśmy już kawał drogi wzdłuż brzozy, oczarowani pięknem krajobrazu, usiedliśmy nad jednym z wielu jarów, które wyłobiliła w skałę rzeka. Pogoda była cudowna. Ciepło. Lato w pełni. Rozegraliśmy się do spodenek i położyliśmy się na brzegu.

Kiedy zasnął,śmy nie wiemy. Obudziły nas krzyki i śmiechy większej grupy ludzi. Spojrzeliśmy z góry na rzekę /bo stamtąd dochodziły nas krzyki i śmiechy i co zobaczyliśmy? Na dole w rzece kąpała się grupa młodzieży chłopcy i dziewczęta nago jak ich matka urodziła. Co prawda, gdy chłopcy /jak to chłopcy/ chcieli klepnąć którą po tyłku, lub złapać za coś, reakcja takiej dziewczyny była natychmiastowa. Dała takiemu parę razy po pysku, a gdy to nie pomagało, cała grupa dziewcząt rzucała się na takiego śmieśka i tłukły go tak długo, aż zaczął prosić, że już więcej nie będzie.

Inni chłopcy, zapewne koledzy, nie reagowali, tylko stali spokojnie z boku, patrząc co będzie dalej. Kończyła się na tym, że ofiara pobita i zmaltretowana, szybko ubierała się i wśród śmiechu i drwin, uciekała jak najdalej od nich. Gdy oglądaliśmy to widowisko, nie zauważyliśmy, że podszedł do nas jakiś człowiek. Nie chcąc nam przeszkadzać w oglądaniu, stał spokojnie, paląc papierosa. Dopiero, gdy zauważyliśmy go powiedział łamaną polszczyzną "dzień dobry". Z początku nie mogłem sobie spojrzeć skąd jego znam. Dopiero po chwili przypomniałem sobie. Był to strażnik więźniów, który mnie złapał, kiedy wracałem z rejonu. Zdzisiek T. jakby się domyślił, że przybysz chce coś powiedzieć bez świadków, ubrał się i poszedł. Nazywał się Tadeusz Sikora i był Polakiem. Pochodził z Białegostoku a ojciec jego, za udział w powstaniu styczniowym, został skazany na 10 lat zesłania do Omskiej guberni, wrzecz ze swoim ojcem Janem Sikorą. Po dwu latach zesłania - opowiadał

Tadeusz - dziadek mój po ciężkiej chorobie umiera. Ojciec mój, dwudziestopięcioletni chłopiec, zostaje sam. Pracuje w tamtejszym mieszkaniem Fiodorem Wasyliwiczem /tak samo zesłaniec carski - po zwolnieniu pozostał tam, gdzie pochował swoją żonę i dwie córki podczas groźnej powodzi/, jako "achotnik" - myśliwy zwierzając futerkowych. Zamieszkał razem z Fiodorem Wasyliwiczem w jednej chacie.

Razem chodzili na polowania. Razem dzielili się, jak to pospolicie mówi się, ostatnim kawałkiem chleba. Tak żyli ze sobą w serdecznej przyjaźni przez 5 lat. Któregoś dnia, wyszli jak zwykle razem na polowanie. Od samego początku nie szczęściło się im. Wychodząc z domu, przypomnieli sobie, że nie wzięli ze sobą worków na upolowaną zwierzynę. A, gdy już byli daleko w puszczy, okazało się, że mają naboje tylko na drobną zwierzynę. Ponieważ ojciec był młody, a Fiodor Wasyliwicz już dobrze pod czterdziestkę, więc skoczył szybko do domu po zapomniane rzeczy, a głównie po naboje na grubego zwierzę, bo las ten pełen był dzikiego zwierzę. Najkrótsza droga do "Lisiego Wykrotu" wiodła przez bagno. Ojciec mój - kontynuował opowiadanie Tadeusz - znał tam każde przejście, każdą kępkę bezpieczną do przejścia tak, że wkrótce znalazł się na polanie.

Do "Lisiego Wykrotu" było nie dalej jak pół kilometra. Już widział rozłożysty dąb, na którym mieli ambonę myśliwską, gdy nagle usłyszał strzał z kierunku "Lisiego Wykrotu", a po nim powietrze rozdarł głuchy gardłowy ryk rannego zwierzę. Nie uległo wątpliwości, że był to głos rannego tygrysa syberyjskiego. Zażądał fuszę grubym nabojem i ile starczyło ru się pobiegł w kierunku odgłosów. Niestety przybył za późno. Obrzą, który zobaczył, zamroził krew w żyłach. Na ziemi leżał Fiodor Wasiliwicz, a na nim rozjuszony tygrys syberyjski. Nie namyślając się ojciec mój wycelował w tygrysa, którego z miejsca zabił. Tygrys rażony śmiertelnym pociskiem, przywalił Fiodora Wasiliwicza całym ciężarem, a w przedśmiertnych konwulsjach rwał pazurami ciało leżącego na ziemi Fiodora Wasiliwicza. Szybko podbiegł do leżącego i zwał z niego ciało zabitego tygrysa. Fiodor Wasiliwicz, dawał oznaki życia. Podniósł mu nieco głowę i dał mu się napić wody. Rannego, mocno krwawiącego, ułożył na prowizorycznie skłcone nosze-sanie i ile sił w nogach pociągnął go do domu. Po drodze co chwila dawał mu do napicia się wody i przewiązywał krwawiące rany. Tak dociągnął go do domu. W domu zdjął z niego porwane ubranie, obmył krwawiące rany, które następnie zalał spirytusem. Fiodor Wasiliwicz był nadal nieprzytomny.

Przytomność odzyskał późno w nocy. Ojciec mój - opowiadał Tadeusz - siedział koło niego całą noc. Gdy tylko odzyskał przytomność, dał mu się napić wody z sokiem z jemiolowych owoców. Po wypiciu, zasnął, lecz po każdym ruchu budził się z głośnym sykaniem. Widocznie bardzo bolały zadane przez tygrysa rany. Na drugi dzień Fiodor Wasiliwicz czuł się lepiej, bo rozmawiał z ojcem bardzo przytomnie. Najwięcej martwiło ojca to, że mówił o śmierci, że nie dożyje, że po ranach zadanych przez tygrysa pazurami, najcięższej dostaje się gangrenę i umiera się. Ojciec zmienił mu opatrunki, znowu zdezynfekował rany spirytusem, ugotował smaczny rosół z dzikiej kaczki, którą upolował, gdy Fiodor Wasiliwicz spał, namoczył w nim suchary i podał Fiodorowi Wasiliwiczowi. Zjadł on ze smakiem i poprosił ojca, aby mu podał jego kuferek. W kufeku tym, oprócz różnych osobistych rzeczy, trzymał pamiątki po żonie i córkach oraz dokumenty. Był tam paszport na nazwisko Fiodor Wasiliwicz Bukaczow urodzony w Rostowie, z podaniem daty urodzenia, oprócz tego była metryka urodzenia, wydana przez tamtejszy urząd parafialny, dowód własności domu, ze szczegółowym opisem jego wielkości, ilości izb mieszkalnych i gospodarskich z lokalizacją domu, ponadto pokazał mu zwolnienie z sądy wydanej przez Omską prokuraturę.

Gdy to wszystko pokazał ojcu, powiedział mu, że gdy umrze, niech ojciec na jego dokumenty wraca do Rostowa i odtąd występuje pod jego nazwiskiem. Ojciec z początku tłumaczył Fiodorowi Wasiliewiczowi, że on jeszcze ojca przeżyje, ale on odpowiedział, że za dwa, najpóźniej trzy dni musi umrzeć. Tak też się stało. W nocy dostał wysokiej gorączki, stracił ponownie przytomność, którą odzyskał na kilka godzin przed śmiercią. Ojciec mój cały czas siedział koło niego, szepty na każde jego zawołanie być przy nim i służyć mu pomocą. Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy Fiodor Wasiliewicz kazał ojcu zbliżyć się do niego i już słabnącym głosem powiedział mu, że pod drzewem koło studni ma zakopane pieniądze ze sprzedaży skór i złoto, które znalazł w niepokalnym strumyku wypływającym z góry nazwanej przez niego imieniem swojej żony, Tania.

Pieniądze te i złoto przekazuje ojcu, ponieważ nie ma nikogo bliskiego. Fiodor Wasiliewicz całą noc rzucał się na posłaniu, wykrzykiwał w gorące czyjeś imiona, wydawał rozkazy, wreszcie nad ranem uspokoił się i usnął.

Zbudził się gdy słońce już wysoko na niebie było i całkiem przytomnie odezwał się do ojca. Opowiedział mu całe swoje życie od dziecka do śmierci swojej żony i dzieci. Już ojciec myślał, że organizm przezwyoiżył chorobę, ale po chwili spostrzegł, że śmierć kładzie swe piętno na jego twarzy. Oczy zasłazy mu mgłą, a twarz wykrzywił grymas bólu. Ostatnie jego słowa były, szepty pochować go obok jego żony Tani i córki. Chwycił ojca za rękę i tak skonał. Jak sobie życzył Fiodor Wasiliewicz, pochował go ojciec obok jego najbliższych.

W miesiąc po śmierci Fiodora Wasiliewicza załadował na łódź skóry i popłynął do Omska. Tam ze sprzedane skóry kupił konia, siódło i niezbędne do podróży rzeczy. Na koniu powrócił do chaty, gdzie spędził tyle przyjemnych i smutnych dni swego życia. Żał mu było opuszczać to miejsce, gdzie znał każde drzewo, kamień, dróżkę i strumyk. Tu pochował swego ojca, tu pochował swojego najlepszego przyjaciela.

Przyjechał tu biednym zesłańcem, teraz odjeżdża dzięki Fiodorowi Wasiliewiczowi bogaty. W Omsku wymeldował się na policji jako Fiodor Wasiliewicz Bukłaczow, przedstawiając, paszport Fiodora Wasiliewicza. Do Rostowa jechał prawie rok. W Rostowie występuje pod nazwiskiem Fiodora Wasiliewicza Bukłaczowa i przy nim pozostał aż do śmierci. Sprzedaje posesję w Rostowie i przeprowadza się do Białogostoku do swojego rodzinnego miasta. Dom, w którym się urodził i mieszkał aż do aresztowania dziadka i wywiezienia do Omskiej gubernii był spalony. Za pieniądze ze sprzedaży domu w Rostowie, kupił nowy dom. Wkrótce poznał młodą dziewczynę Małgorzatę Kozimierowną Przecherską, z którą się ożenił. Sprowadził się z nią i rodzicami matki do swojego domu. Tam mieszkał zaledwie trzy lata, bo carska policja zaczęła poszukiwać ojca. Ojciec w obawie, szepty go nie rozpoznali pomimo innego nazwiska wyjechał z matką, ze mną i młodszym bratem do Dniepropetrowska, gdzie przeżyliśmy całą rewolucję. Ojciec mój, podczas ataku bielogwardystów na Dniepropetrowsk, ranny w pierś umiera pozostawiając mnie i młodszego brata pod opieką matki. Bardzo kochaliśmy swoją matkę. Ona uczyła nas mówić po polsku, od niej dowiedzieliśmy się całej historii mojego ojca. Dużą mam polską i czuję się Polakiem. Matka żyje do dzisiaj i stale mi przypomina, że jestem Polakiem i Polakiem powinienem umrzeć. Chociaż nazwisko Tadeusz Fiodorowicz Bukłaczow, jest ruskie, lecz prawdziwe moje nazwisko jest Tadeusz Sikora. Po odbyciu służby wojskowej, skierowano mnie do pracy w NKWD jako strażnik /karauz/ więźniów z obozu pracy pod Ingulem, pracujących w kopalni. Słuchając jego opowiadania, nawet nie spostrzeżliśmy się, że zapadł zmrok i czas już było wracać do domu.

Tadeusz Fiodorowicz odprowadził mnie pod bramę obszczeżitia, sam zaś udał się do swojego domu. Kolega Zdzisiek zapytał się mnie co to za jeden i o czym rozmawialiśmy. Wytkumaczyłem się zmęceniem obiecując, że o wszystkim opowiem mu na drugi dzień. Ale ani tego, ani następnego dnia nie powiedziałem mu o niczym.

Zarobki nasze, po potrąceniu zaliczki pobranej jeszcze we Lwowie i kosztów utrzymania w obszczeżitiu, nie starczyły na drobne wydatki związane z kupnem tytoniu, mydła do mycia, które można było dostać tylko na czarnym rynku po cenach spekulacyjnych. O pójściu do kina czy na jakąś inną imprezę czy rozrywkę, nie było mowy. Całą naszą rozrywką po pracy, był spacer nad brzegiem rzeki, jak była pogoda, ale jak padał deszcz, siedzieliśmy w domu, grając w karty czy szachy. Miesto znaliśmy wzdłuż i w szerz. Podczas spacerów po mieście, lub staniu w kolejce mieszkańcy tutejsi, pozdrawiali nas wesoło i jak dwa tygodnie temu unikali nas, tak teraz zapraszali nas do siebie do domu, czy na "bakał" /kufel piwa/ do restauracji. Chodząc po mieście czy w kopalni, szukałem Tadeusza Fiodorowicza, lecz nie mogłem go nigdzie spotkać.

Dopiero po tygodniu spotkałem go, jak z żoną i małym dzieckiem szli ulicą. Jak go zobaczyłem, nie wiedziałem czy mam do niego podejść czy przejechać obojętnie obok niego. Jak byłem od niego trzy metry, wesoło przywitał się i zapytał, dokąd idę. Odpowiedziałem, że prosto przed siebie, wtedy zaprosił mnie do siebie do domu. Zaproszenie chętnie przyjąłem, tym bardziej, że zaczął kropić deszcz a do obszczeżitia miałem dobrych parę kilometrów.

Jak nad brzegiem rzeki rozmawiał ze mną kłamaną polszczyzną tak teraz tylko po rosyjsku. Ani jednego słowa po polsku. Żona Tadeusza Fiodorowicza szybko uwinęła się koło kuchni i wkrótce na stole zjawiała się wódka. Na zakąskę podała kiszzone ogórki i kiszzone zielone pomidory. Do tego naczynie z wodą do popicia wódki.

Piliśmy jak zwyczaj kaze, w szklankach. Mieszkanie Tadeusza składało się z jednego pokoju z węgą na kuchnię. Umeblowanie mieszkania składało się z żelaznego łóżka zaścielenego siennikiem, przykrytego dobrze szatygowaną kapą, stołu, dwóch krzeseł, ławki, stołka stojącego w kącie pokoju, na którym stał drewniany cebrazyk, obok wiadro drewniane z wodą czystą i drugie na brudną. Na ścianie wisiała półka, a na niej poukładane były garnuszki, talerze, garnki i inny sprzęt kuchenny.

Okienko wychodzące na podwórko, tak mało przepuszczало światła dziennego, że, chociaż na dworze było jeszcze zupełnie widno, w mieszkaniu należało już palić światło. Do oświetlenia mieszkania służyła stara już dawno wysłużona lampa naftowa, bo chociaż w całej posesji był doprowadzony prąd elektryczny, lecz z braku żarówek, korzystano z lamp naftowych.

Na podwórku stały drewniane ustępy. Z ciekawości poszedłem do jednego z nich.

c.d.n.

c.d. ze str.5

Konstytucyjne prawo ludzi pracy do tych decyzji, czyli do własności środków produkcji bez dostępu do informacji pozostanie nadal puste. Walczmy więc o dostęp do środków masowego przekazu, bo kto ma informację i potrafi ją wykorzystać, ma wpływ na wyniki i skuteczność pracy.

K.Krasieński, L. Żołyski

Redaguje Zespół.

Adres redakcji : Wrocław, Plac 1-go Maja 1-2
telefony: 401-223, 401-354